WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"

Nr 37 (207)

Rok V

19 IX 1965 r.

STANISŁAW WYGODZKI

KARTKI Z ŻYCIORYSU

Urodziłem się w Zagłębiu Dąbrowskim i ten fakt — jak się okazało następnie — miał poważny, jeśli nie najważniejszy, wpływ na moje późniejsze życie.

Była to ziemia, na której od dziesiątków lat toczyła się ostra i uporczywa walka klasowa: toczyła się ona na ulicach i placach, przed bramami i pod murami kopalń i hut, w czasie nędzy i bezrobocia, podczas strajków i lokautów. W takich czasach starzy górnicy pozostawali bez pracy, a ich żony i dzieci cierpiały głód.

Syreny kopalń i hut Zagłębia Dąbrowskiego wyły o oznaczonych ściśle godzinach, wzywając górników do rozpoczęcia pracy. Gdy syreny wyły o porze innej, wiedzieliśmy, że gdzieś wybuchł pożar lub że woda wdarła się do kopalni i wtedy czekaliśmy zaniepokojeni pojawienia się straży ogniowej, która w blasku kasków i błysku pochodni spieszyła na miejsce wypadku. Ale po 1918 roku, gdy już miałem 11—12 lat, kiedy w wyniku zwycięstwa proletariatu rosyjskiego i upadku zaborczych mocarstw powstało państwo polskie, syreny zaczęły wyć o porach najprzeróżniejszych. Nie zawsze jednak przywoływały straż ogniową. Z koszar wychodziło wojsko, a z komisariatów policja: syreny oznajmiały rozpoczęcie strajku górników.

Ujrzałem po raz pierwszy krwawe sztandary, oglądałem je w lęku, były czerwone, przypominały krew, w łopocie tych sztandarów szły tłumy mężczyzn i kobiet, które odpędzały dzieci od siebie, ponieważ wojsko strzelało. Widziałem więc starcia i walki uliczne, potem szły pogrzeby. Na trumnach zabitych proletariuszy znów czerwone płótno, a za trumnami szły te same kobiety i dzieci, nie odpędzane obecnie. A ja stałem na uboczu. Dom górniczy nie był moim domem. Stałem na uboczu. Nie byłem głodny. Stałem na uboczu. Nie byłem bezdomny. Stałem na uboczu i patrzyłem. Na drogę rewolucji powiodła mnie ziemia Zagłębia Dąbrowskiego, jej dzieje i wielka polska literatura, Stefan Żeromski w pierwszym rzędzie.

Już nie wierzyłem w Boga. Nie wierzyłem również, że mi potrzebna będzie trygonometria i łacina: gdy miałem 16 lat wyrzucono mnie ze szkoły. Nie za brak wiary w Boga. Za to, że schwytano mnie w drugim gimnazjum z ulotkami komunistycznymi. Gdy miałem 17 lat, poszedłem po raz drugi do więzienia za przynależność do nielegalnego Związku Młodzieży Komunistycznej.

* * *

Pisywałem już wtedy wiersze, pisywałem je od wielu lat, od chwili, gdy się zakochałem w pewnej dziewczynie, która w moich oczach — po przeszło pół wieku — uchodzi za najpiękniejszą kobietę mego życia. Moja pierwsza miłość... Dla niej moje wiersze, dla niej moje wzruszenia. Również pośmiertne. Gdzie zginęła? Na terenie Belgii, dokąd wyjechała po latach, czy w Oświęcimiu, dokąd wlekli ją przez pół Europy, by wtrącić ją do komory gazowej?

Wiersze pisywałem przez długie lata: mieszkałem i pracowałem w Zagłębiu i uczyłem się sztuki pisania wierszy u Władysława Broniewskiego. To się tylko tak nazywa: uczyłem się. A właściwie było to uważne i czujne nasłuchiwanie głosu wielkiego Poety, który udzielał wskazówek, wytykał błędy, braki.

Wiersze i poematy drukowałem w „Kulturze Mas", periodyku polskim, wydawanym w Związku Radzieckim. W Moskwie ukazała się moja pierwsza proza: w inauguracyjnym numerze periodyku: „Literatura Międzynarodowej Rewolucji", wydawanym w 3 językach: rosyjskim, niemieckim i angielskim. Do 1939 roku wydałem trzy tomy wierszy, drukowałem nadal w prasie lewicowej, prześladowanej, maltretowanej, ukazującej się sporadycznie. Zarobkowo pracowałem w hucie bieli cynkowej — nigdy nie otrzymałem żadnego honorarium.

Tłumaczyłem również w owym czasie poetów niemieckich i zamieszczałem ich utwory w radykalnej prasie polskiej, wydawanej pod kierownictwem nielegalnie działającej Komunistycznej Partii Polski. Tłumaczyłem wiersze Bechera, Weisskopfa, Kurta Huhna, Emila Ginkla, Mühsama, Brechta, Tucholsky'ego i wielu innych.

Znałem więc dobrze literaturę niemiecką, ale nie znałem ani Niemców, ani Niemiec. Ludzi niemieckich poznałem dopiero we wrześniu 1939 roku. To byli faszyści.

Wtrącili mnie do getta, pozbawili egzystencji, by mnie w końcu zawlec wraz z żoną i czteroletnią córką do Oświęcimia. To było 1 sierpnia 1943 roku. Tego samego dnia, następnym pociągiem, zawlekli do Oświęcimia mego ojca i matkę, dwóch braci. Od owego czasu jestem jedynym żyjącym spośród całej mojej rodziny. Jej poświęciłem tom wierszy „Pamiętnik młodości" wydany po raz pierwszy w Warszawie w 1948 roku, nagrodzony przez Związek Literatów Polskich. W 1963 roku ukazało się drugie wydanie tego tomu. W 1964 roku trzecie. Pisałem te wiersze w Gautingu, w szpitalu pod Monachium, zamieściłem w tomie również wiersze napisane w Oświęcimiu, zachowane w pamięci. Potem bowiem byłem jeszcze w Oranienburgu i Dachau. Do Gautingu chciałbym kiedyś wrócić. Tam zjawiła się kobieta, która mi towarzyszy do tej pory i jest matką mego syna, Adama, i córki Ewy. Tam, w Gautingu, pewnego dnia, proletariusz niemiecki, szewc, pokazał mi magazynek literatury komunistycznej, którą przechowywał od czasów zdelegalizowania KPD.

* * *

Pisałem więc wiersze i zacząłem próbować sił w prozie. Lękałem się tego gatunku i nęcił mnie zarazem: wydawało mi się, że tylko prozą potrafię powiedzieć to, co chciałem i przemyślałem. Sięgnąłem po sprawy dobrze mi znane i — jak każdy początkujący — pisałem o sobie, o swoich doświadczeniach. Starczyło tego na jedną książkę, na dwie. Napisałem je, pomyślałem o następnych.

Uprawiam właściwie jedynie tzw. formę małą, opowiadanie, nowelę. Moje utwory traktują o jednym problemie, występują w nich dwie — trzy osoby, natomiast nie radzę sobie dobrze z historią wielowątkową, z wieloma postaciami.

Pisałem o komunistach polskich, o ich walce, o pracy nielegalnej, o wyrzeczeniach i ofiarach zwykłych ludzi, którzy marzyli o świecie innym, wolnym od nędzy, wyzysku, bezdomności, pogardy, nienawiści, zaborczości: o świecie wolnym od nienawiści rasowej i wojen. Pisałem o ludziach poznanych w dzielnicach nędzy w niskich izbach: pisałem o moich towarzyszach, którzy zginęli.

Pisałem o Żydach polskich. O tych wszystkich marzycielach z poddaszy i izb piwnicznych, o krawcach, szewcach, czapnikach, zegarmistrzach, kandydatach na rabinów,

(Ciąg dalszy na str. 2)

Fot. KAZIMIERZ BUTWIŁOWSKI

Jean Paul Sartre w Muzeum Mickiewicza w Warszawie

Z polsko-francuskiej współpracy kulturalnej

FRANCUSKA KSIĄŻKA W POLSCE

Z Francją łączą Polskę tradycyjne związki kulturalne. Wyrażają się one m. in. dużym zainteresowaniem naszych czytelników francuską literaturą piękną, wzajemnymi kontaktami wydawców, pisarzy itd. Sprawy te poruszył prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek i jednocześnie dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego, Adam Ostrowski w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi PAP.

— W ciągu ostatnich dwudziestu lat — powiedział Adam Ostrowski — przekłady z francuskiej literatury pięknej zajmują drugie miejsce po literaturze rosyjskiej i radzieckiej w statystyce naszych wydawnictw i wyrażają się imponującą liczbą 1069 tytułów o łącznym nakładzie blisko 20 mln egzemplarzy. Literatura francuska w Polsce po II wojnie światowej była uprzywilejowana przez istnienie ogromnego dzieła niezmiernie zasłużonego tłumacza Boya-Żeleńskiego, który w okresie międzywojennym przełożył sto kilkadziesiąt arcydzieł literatury francuskiej. Dorobek Boya obejmował m. in. utwory takich pisarzy, jak Villon, Rabelais, Montaigne, Molier, Montesquieu, Diderot, Voltaire, Rousseau, większość dzieł Stendhala, Balzaka i Musseta, a także prawie cały cykl Prousta. Wydawnictwa polskie przystępując do pracy po wojnie, która zniszczyła większość bibliotek i księgozbiorów prywatnych, mogły więc w dziedzinie literatury francuskiej oprzeć się na tej ogromnej pracy przekładowej Boya i szybko przystąpić do reedycji klasyków francuskich, wzbogacając następnie dzieło tego niestrudzonego ambasadora literatury francuskiej dalszymi przekładami literatury klasycznej i współczesnej.

— Największe nakłady miały książki Balzaka — 1.812 tys., Verne'a — 1.798 tys., a następnie Hugo — 906 tys., Dumasa — 856 tys., Zoli — 600 tys., Stendhala — 565 tys., France'a — 480 tys., Maupassanta — 450 tys., Rollanda — 406 tys., Mauriaca — 271 tys., Aragona — 228 tys., Moliera — 218 tys., Maurois — 150 tys., Saint-Exupery'ego — 110 tys., Camusa — 90 tys., Vercorsa — 60 tys.

Można śmiało powiedzieć, że nie ma ani jednego wybitniejszego pisarza francuskiego, którego książki nie byłyby przełożone na język polski. Wydawnictwa nasze starają się, aby czytelnik polski mógł poznać dorobek nie tylko klasyków literatury francuskiej i pisarzy o powszechnie już uznanej randze, ale także tych wszystkich autorów, którzy wnoszą do literatury nowe interesujące poszukiwania formalne (przykładem utwory pisarzy spod znaku „antypowieści" jak Butor, Robbe-Grillet, Sarraute), lub których talent — mimo młodego wieku — zapowiada się ciekawie (tak np. w najbliższym czasie ukaże się książka bardzo młodego pisarza Le Clezio pt. „Le proces verbal").

Wielkim wydarzeniem kulturalnym będzie kilkutomowa antologia poezji francuskiej od „Pieśni o Rolandzie" aż do współczesności. Tłumaczenia wzięli na warsztat najlepsi polscy poeci i już w przyszłym roku należy oczekiwać pierwszego tomu tego wielkiego zamierzenia edytorskiego. Prócz dzieł tak fundamentalnych, jak „Historia literatury francuskiej" Lansona-Tuffreau, która wkrótce będzie wznowiona, ukazał się już lub jest w planach wydawnictw na najbliższe lata szereg książek z tej dziedziny. Że wymienię choćby J. B. Berrera, A. Billy,

(Ciąg dalszy na str. 2)

Z polsko-francuskiej współpracy kulturalnej

(Ciąg dalszy ze str. 1)

G. Blin, R. Caillois, R. Garaudy, P. Hazard, G. Robert, M. Rulf, J. P. Sartre, Ph. Van Tieghem i inni.

Ta wielka praca wydawnictw polskich nad przyswojeniem literatury francuskiej — powiedział w zakończeniu A. Ostrowski — jest ułatwiona dzięki bliskim kontaktom naszych wydawców z ich kolegami francuskimi. Szczególnie sprzyjają temu wzajemne wystawy książek oraz osobiste spotkania na międzynarodowych imprezach księgarsko-wydawniczych, zwłaszcza na Międzynarodowych Targach Książki, które już od dziesięciu lat odbywają się w maju w Warszawie. Biorą w nim udział najpoważniejsi wydawcy francuscy. Tym bezpośrednim kontaktom zawdzięcza się, że ilość książek polskich tłumaczonych we Francji jest coraz większa i czytelnicy francuscy mogli już poznać przynajmniej niektóre utwory takich pisarzy, jak Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Breza, K. Brandys, Kruczkowski, Mrożek, Parandowski. Mam nadzieję, że te zacieśniające się kontakty wydawców obu krajów będą sprzyjały jeszcze lepszemu poznaniu dorobku literackiego obu krajów.

Rozmawiał: B. TROŃSKI

KONTAKTY W DZIEDZINIE SZTUK PLASTYCZNYCH

W tradycyjnych kontaktach kulturalnych Polski i Francji poczesne miejsce zajmują sztuki plastyczne. Jednym z twórców polskiego malarstwa narodowego był przecież Francuz — Jean Pierre Norblin de la Gourdaine (1745—1830), który przyjechał do Polski jeszcze w XVIII wieku. Malarstwo francuskie XVIII i XIX wieku, które wywarło przemożny wpływ na rozwój sztuki europejskiej, pozostawiło również trwałe ślady w Polsce. Do Paryża — tej artystycznej stolicy świata — jeździli od dawna na studia wielcy polscy malarze. Prawie każdy z naszych wybitnych twórców miał swój „paryski okres", wśród nich największy polski rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Wielu malarzy, jak Władysław Slewiński, Tadeusz Makowski i Olga Boznańska, mieszkało stale we Francji. W latach dwudziestych naszego wieku grupa młodych polskich malarzy pod przewodnictwem Józefa Pankiewicza utworzyła w Paryżu tzw. „Komitet Paryski" — grupę artystyczną, która odegrała wybitną rolę w rozwoju polskiej sztuki współczesnej.

Również Polska bliska była wielu francuskim artystom. Znane są „portrety polskie" wybitnej francuskiej malarki Elisabeth Vigee-Lebrun (1752 - 1842) i obrazy batalistyczne o tematyce polskiej Horacego Verneta. Stolicę Francji zdobi pomnik Mickiewicza dłuta Antoine Bourdele'a. Dzięki wzajemnym kontaktom dzieła sztuki francuskiej są znane dobrze polskiemu społeczeństwu. Wielkim wydarzeniem były w 1956 i 1959 r. wystawy arcydzieł malarstwa francuskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie. Oglądaliśmy na nich płótna wielkich artystów francuskich — Davida, Ingresa, Delacroix, Corota, Milleta, Courbeta, Moneta, Renoira Degasa, Sisleya, Pissarra, Cezanne'a, Gauguina i twórców doby współczesnej — Chagalla, Picassa, Matisse'a i Legera. Dużą popularnością cieszą się w Polsce książki poświęcone wielkim artystom francuskim, m. in. powieści biograficzne Parruchota (Manet, Toulouse Lautrec i in.).

W latach 1945—64 zorganizowano w Polsce ponad 110 wystaw sztuki francuskiej (głównie reprodukcji), a w tym czasie we Francji nasi artyści prezentowali swoje dzieła 246 razy na wystawach indywidualnych, zbiorowych i międzynarodowych. M. in. Francuzi oglądali rysunki Kulisiewicza, rzeźby Kenara, Stryn kiewicza i Ślesińskiej, grafikę Chrostowskiej i Musiałowicza oraz liczne wystawy polskiego plakatu i sztuki ludowej. W 1959 r. na Biennale w Paryżu złoty medal otrzymał nasz twórca Jerzy Lebenstejn.

Do czołowych propagatorów polskiej sztuki we Francji należy dyrektor Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu Jean Casaou, zasłużony organizator wielu imprez polskich.

Jean-Louis Barrault — dyrektorem Teatru Narodów

Jean-Louis Barrault, znany aktor i reżyser francuski, obecny dyrektor Theatre de Franze został mianowany nowym dyrektorem „Teatru Narodów" („Theatre de Nations"). Barrault objął to stanowisko po Julienie, jednym z założycieli tego teatru, w którym od roku 1963 odbywają się występy najlepszych zespołów dramatycznych i operowych z wielu krajów.

Nowy dyrektor „TN" który w dniu nominacji wyjechał do Nowego Jorku, aby w Metropolitan Opera reżyserować „Fausta" Gounoda, zapowiedział, że będzie się starał o utworzenie rady artystycznej teatru. Uważa również za celowe skrócenie terminu sezonu „TN" oraz stosowanie bardziej rygorystycznych wymogów w stosunku do oferujących występy zespołów z różnych krajów.

W przyszłym sezonie letnim zespoły występujące w ramach „TN" prezentować będą swoje spektakle w Teatrze Francuskim przy placu Odeon.

Portret dziewczyny *Fot. WŁADYSŁAW BRYDAK*

W okresie przygotowczym do Kongresu Eucharystycznego w Bombaju, w czasie jego trwania i wkrótce po nim, prasa katolicka niemal całego świata wiele uwagi poświęciła problemom katolicyzmu w Indiach i możliwości rozszerzenia prowadzonej zresztą od dawna akcji misyjnej. W ocenie katolickich publicystów i polityków były to „wielkie dni Bombaju".

Arcybiskup Bombaju, kard. Gracias głowa kościoła katolickiego w Indii, kontynuuje działalność zapoczątkowaną w okresie Kongresu, mającą charakter w głównej mierze charytatywny. Tworzy się tzw. „miasta miłości", które mają się stać przytuliskiem dla nędzarzy bez względu na wyznanie, wiek i płeć. Rząd Indii bierze chętnie udział w tym przedsięwzięciu, dostarczając odpowiednich terenów i częściowo służąc środkami technicznymi. Uruchomiono również liczne instytucje zdrowia, które mają zająć się chorymi, a także dopomóc rekonwalescentom w znalezieniu pracy, co — jak wiadomo — nie jest w Indii sprawą prostą. Unika się przy tym wszelkich zadrażnień wyznaniowych. Pomoc ma być całkowicie bezinteresowna, a jedyną siłą przyciągającą niekatolików ma być poczucie solidarności czysto ludzkiej w myśl rzuconego hasła: „miłość jedyną siłą".

Przy tej sposobności kard. Gracias nie zaniedbuje oczywiście działalności misyjnej, uprawianej wprost przez nauczanie kanonu wiary katolickiej, a także pośrednio przez szeroko pojętą działalność kulturalną.

Obecna działalność charytatywna i misyjna Kościoła katolickiego w Indii pozostaje w ścisłym związku z pracami podjętymi w okresie Kongresu. Rzecz charakterystyczna, że obok uroczystości ściśle religijnych uwagę polityków kościelnych przyciągają w ogromnej mierze problemy nie związane bezpośrednio z kultem. Oto Kongres Eucharystyczny w Bombaju zgromadził wielu katolickich polityków świeckich i specjalistów w rozmaitych dziedzinach. Sam kard. Gracias, inspirator i główny organizator Kongresu, patronował pracy specjalnego seminarium poświęconego problemom gospodarczym i społecznym. Wygłosił on inauguracyjne przemówienie na temat żywienia i zdrowia publicznego. Wysocy urzędnicy indyjskiego resortu rolnictwa dyskutowali wspólnie z politykami kościelnymi problem głodu oraz zwracali uwagę na trudności międzynarodowej akcji przeciwko masowo występującemu niedożywianiu ludności Indii.

Kościół dokładał maksimum wysiłku, aby zaprezentować siebie przed opinią publiczną Indii w roli organizacji zwalczającej głód w świecie. Można by to uważać za skądinąd naturalną kontynuację dawnej charytatywnej działalności Kościoła, gdyby nie udział w tych obradach m. in. ambasadora Stanów Zjednoczonych, Chester Bowlesa, który również zaoferował swe usługi dla „dobra narodu Indii", a w rzeczywistości w imię interesów amerykańskich firm eksportujących środki żywnościowe. I tutaj w Indii, podobnie jak w innych krajach Azji — w Wietnamie południowym, Korei południowej — „dobroczynne" kapitały watykańskie współdziałają ściśle z kapitałem północnoamerykańskim.

India to kraj ponad wszelką miarę przeludniony, 450 mln mieszkańców, ogromny przyrost naturalny, którego nie da się uchwycić w ściśle określoną statystykę, przeciętny zarobek około 300 rupii rocznie.... Średnia górna granica wieku — 37 lat. Olbrzymie miasta (Kalkuta ponad 4 mln mieszkańców, Bombaj — ok. 4 mln., Delhi — ponad 2 mln, Madras — 1.750 tys., Haiderabat — 1.300 tys.) — to kolosalne skupiska nędzy w których śmierć z głodu na ulicach jest zjawiskiem powszednim. Tragiczna spuścizna kolonializmu Portugalczyków, Holendrów, Francuzów,

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

MINĘŁY „WIELKIE DNI BOMBAJU"

wreszcie Anglików; India wywalczyła niepodległość dopiero 15 sierpnia 1947 roku.

Minęły wieki misji chrześcijańskich, które towarzyszyły niedoli tego kraju, często ją pogłębiając współdziałaniem z kolonizatorami. Chrześcijaństwo przyszło tu wcześnie. Portugalczycy, działający zdecydowanie w kierunku kolonizacji wielkich obszarów Indii, postarali się o umocnienie chrześcijaństwa w tym kraju, albowiem stanowiło ono ważny element polityczny i w znacznej mierze dopomagało w zakorzenieniu portugalskiego panowania. W tej dziedzinie odznaczył się zwłaszcza św. Franciszek Ksawery, a także jezuici portugalscy, którzy rozwinęli intensywną działalność począwszy od XVI wieku. Za nimi przyszyli dominikanie i kapucyni. W XVII wieku jezuici włoscy starali się dostosować metodę pracy misyjnej do potrzeb miejscowego sposobu życia i myślenia. W 1637 roku Watykan mianował pierwszego katolickiego biskupa, który dotychczas był tylko wikariuszem generalnym.

Odtąd sprzymierzyły się ze sobą dwie siły i dwie jurysdykcje: patronat portugalski i watykańska Kongregacja Propagandy Wiary.

Częściowo pod wpływem propagandy misyjnej, a w znacznej mierze pod wpływem presji politycznej, następował odtąd powolny, ale stały wzrost stanu posiadania katolicyzmu w Indii. W niektórych ośrodkach kraju przede wszystkim w prowincji Kerala powstały dość znaczne skupiska katolików. Tu właśnie w Kerala liczba wyznawców Kościoła rzymskiego osiągnęła około 2,5 mln., czyli 14,5 proc. ludności. Pomimo tego wzrostu stosunki wyznaniowe kształtują się oczywiście niekorzystnie dla katolików. Spośród 450 mln mieszkańców jest około 350 mln hinduistów, ok. 43 mln muzułmanów, a tylko ok. 11 mln chrześcijan — w tym katolików 6.300 tys. Kościół katolicki w Indii dysponuje 70 arcybiskupami i biskupami oraz 7 prefektami apostolskimi. 45 biskupów i arcybiskupów jest pochodzenia miejscowego.

Rejon Goa aż do roku 1962 pozostawał kolonią portugalską i został włączony drogą aneksji militarno-politycznej. Terytorium Goa nie stanowi osobnego stanu należącego do Unii Indyjskiej, lecz jest administracyjnie bezpośrednio podporządkowane rządowi centralnemu. Szczególna jest też sytuacja katolicyzmu w tym regionie. Przez długie lata portugalskiej okupacji, pod wpływem politycznych zabiegów ze strony kolonizatorów, wytworzyła się w Goa ponad 120-tysięczna grupa chrześcijan, którzy od kilku pokoleń ulegali systematycznemu wpływowi języka i kultury portugalskiej. Rekrutowali się oni spośród urzędników, kupców i częściowo wolnych zawodów; stanowili swego rodzaju elitę kulturalną o zabarwieniu wyraźnie europejskim, a przede wszystkim elitę władzy. Na tych bowiem katolickim mieszkańcach Goa — wśród których największym autorytetem cieszyli się misjonarze i duchowni katoliccy — opierali się kolonizatorzy portugalscy, zapewniając im jednocześnie możliwość utrzymania, a nawet wzmocnienia pozycji społecznej. Pociągało to jednak za sobą znaczne wyobcowanie grupy katolickiej z całości hinduskiego społeczeństwa.

Bombaj bywa nazywany „mikrokosmosem Indii". Jego 4-milionowa ludność, należy do pięciu grup językowych. Miasto wyrosło, jako rezultat działalności kolonizatorów, którzy tu właśnie koncentrowali handel. 350 tys. katolików zamieszkujących Bombaj i jego okolicę stanowi oczywiście znikomy procent. Ale tu właśnie skoncentrował się handel tytoniem i bawełną, tu znajduje się wielkie centrum elektryfikacyjne. Brak natomiast jakichkolwiek większych instytucji i urządzeń kulturalnych. W każdym razie właśnie Bombaj jest miastem najbardziej chrześcijańskim w Indii. Tu działali jezuici i franciszkanie pochodzenia nie tylko portugalskiego, także Francuzi i Szwajcarzy. Tu, w rejonie Bombaju i Goa, najbardziej są nabrzmiałe problemy wzajemnych stosunków między wyznaniami. 80 proc. mieszkańców tych regionów to nędzarze, do których — można się tego spodziewać — łatwo chyba trafić, można argumentem „miłosierdzia" i „dobroczynności". W Bombaju właśnie urzęduje kard. Gracias i to miasto upatrzył sobie Watykan na punkt wypadowy w głąb olbrzymiego kraju, chcąc za jednym zamachem, kurtuazją papieskiej wizyty i gestami miłosierdzia (przekazanie tiary papieskiej przez Pawła VI na rzecz biednych) zamazać dawną, jakże niechwalebną przeszłość katolicyzmu w Indii.

Kartki z życiorysu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

którzy nagle odkrywali prawdę rewolucji. Widziałem ich nędzę, ich głód wiedzy. Zanim ich ojców i matki hitlerowcy zapędzili do komór gazowych, oni się bili w Hiszpanii, ginęli tam. Niektórzy tylko wrócili, pracowali jak mogli i gdzie potrafili. Niektórzy znów siedzą przy warsztatach krawieckich i szewskich. Pisałem dużo o tych ludziach. Opowiadanie „Szatanek" to jeden z tych utworów. Za tom opowiadań „Koncert życzeń" otrzymałem nagrodę „Nowej Kultury" za rok 1960.

Wszystkie moje opowiadania są „prawdziwe", ich punkt wyjściowy stanowi zawsze człowiek rzeczywisty, wydarzenie rzeczywiste, historia Polski, dzieje Europy lat 1939 — 1964. Dla moich postaci nie ma innej szansy poza socjalizmem: nie ma innej drogi poza drogą świadomego tworzenia podstaw dla społeczeństwa, wolnego od wyzysku, przemocy i gwałtu. Moje postaci to ludzie cierpiący, niezadowoleni, ścigani i tropieni: zwraca się przeciwko nim los określony politycznie, ekonomicznie, moralnie, intelektualnie. Określić te sprawy, znaczy zrozumieć je, oto co sprawia, że moje postaci mówią zwykłą mową o sprawach zwykłych.

Niektórzy krytycy, a także wydawcy pytają mnie nieraz, kiedy porzucę temat wojny i okupacji, i kiedy przejdę do tematu współczesnego. Czyżby to znaczyło, że temat wojny i okupacji nie jest już tematem współczesnym? Czyżby to miało znaczyć, że to, co nastąpiło w Europie 30, 20 lat temu, już zaliczyć należy do tak odległych czasów, iż te sprawy przestały być sprawami człowieka współczesnego? Nie jestem przekonany, że tak jest istotnie.

Czy to znaczy, że zarażony śmiercią mam stać zwrócony tylko ku tej stronie świata, gdzie dniem i nocą dymiły kominy krematoriów? Nie, to tak nie znaczy, to znaczy jednak, że w uporczywej walce o zachowanie pokoju, nie może braknąć mego głosu nabrzmiałego chwilami rozpaczą, chwilami odrazą, chwilami wiarą w człowieka, który widział dno piekła i pragnie uchronić innych przed zstąpieniem do tego piekła. Wierzyłem w wielkość człowieka, gdy stałem nad bajorem wypełnionym krwią, kałem, zwłokami, potopionymi, bo jeszcze wtedy, jeszcze w tej chwili ostatniej wierzyli, że świat będzie inny, musi być inny, chce być inny.

STANISŁAW WYGODZKI

Bałkańska sztafeta kulturalna

Tegoroczny sierpień był w Bułgarii miesiącem niezwykle bogatym w imprezy kulturalne, mające pierwszorzędne znaczenie dla całego regionu bałkańskiego.

Na pierwszy plan wysunął się I Bałkański Festiwal Filmowy w Warnie (8—14 VIII). Uczestniczyły w nim kinematografie 6 krajów: Albanii, Bułgarii, Grecji, Jugosławii, Rumunii i Turcji.

W ramach Festiwalu i poza Festiwalem wyświetlone zostały 23 filmy fabularne i 40 filmów krótkometrażowych. W czasie spotkań twórców filmowych ustalono, że kinematografie poszczególnych krajów bałkańskich podejmą wspólną produkcję filmów.

I Bałkański Festiwal Filmowy uznać należy za poważny krok ku zbliżeniu kinematografii krajów tego regionu, zacieśnieniu współpracy kulturalnej i przyjaźni. II Bałkański Festiwal Filmowy zorganizowany zostanie w Turcji w 1966 roku.

Drugą interesującą imprezą zorganizowaną w Burgas był I Festiwal Pieśni Ludowych. Udział w nim wzięli wybitni soliści oraz orkiestry rozrywkowe z 6 krajów bałkańskich.

O KINEMATOGRAFII BUŁGARSKIEJ

mówi reżyser JANKO JANKOW

Tydzień temu, z okazji premiery filmu „Cena odwagi" bawiła w Rzeszowskiem delegacja filmowców bułgarskich, której przewodził jeden z czołowych twórców tego kraju, reżyser Janko Jankow. Podczas pobytu w Rzeszowie przedstawiciel „Widnokręgu" zadał gościowi kilka pytań.

— W roku bieżącym kinematografia bułgarska obchodzi 55-lecie swego istnienia. Czy mógłby pan scharakteryzować krótko drogę jej rozwoju?

— Istotnie, pierwszy film bułgarski powstał w roku 1910 i od tej daty liczymy historię naszej kinematografii. Jednak o dowojennej produkcji właściwie nie ma co mówić: jej ilość i jakość nasuwa poważne wątpliwości. Produkcja filmowa na skalę przemysłową zaczęła się u nas dopiero po roku 1944. Ściślej, musieliśmy robić wszystko od nowa.

Największych trudności nastręczał brak kadr. W odróżnieniu od Polski, gdzie do pracy w filmie stanęli tuż po wyzwoleniu tacy ludzie, jak Aleksander Ford, Wanda Jakubowska, Jerzy Bossak i inni, my musieliśmy uczyć się filmowego abecadła. Dla tego większość dzisiejszych twórców filmowych naszego kraju to ludzie, którzy uczyli się zawodu po wojnie za granicą—moskiewskim WGIK-u, w Pradze, w waszej łódzkiej Szkole Filmowej. Oczywiście ten późny start zaważył zarówno na dorobku ilościowym, jak i osiągnięciach artystycznych naszej kinematografii.

— Jak przedstawia się ten dorobek w cyfrach?

— Kinematografia Ludowej Bułgarii ma już na koncie ponad 100 filmów fabularnych (Polska około 220 — red.) oraz 2.400 filmów dokumentalnych, oświatowych, popularnonaukowych, animowanych itp. Kino cieszy się w naszym kraju ogromnym powodzeniem. W Bułgarii działa 2.580 kin (z tego 2.240 na wsi), które w roku ubiegłym zanotowały łącznie 160 mln. widzów. (Polska — 177 mln. red.). Jak na kraj liczący 8 mln ludzi. jest to liczba, która może budzić dumę.

— Mimo „młodego wieku" kinematografia Bułgarskiej Republiki Ludowej osiągnęła już znaczne sukcesy artystyczne. Wśród polskich kinomanów zdobyły sobie popularność takie filmy, jak „Alarm", „Gwiazdy", „Gdy byliśmy młodzi", „Słońce i cień" i in. Wiadomo nam także że tylko w ubiegłym roku filmy wasze zdobyły nagrody i wyróżnienia na 15 międzynarodowych festiwalach filmowych...

— Tak, to prawda, ale trzeba od razu powiedzieć, że z owych 15 nagrodzonych filmów, 12 to utwory średnio i krótkometrażowe. Właśnie w tej dziedzinie, zwłaszcza w produkcji filmów animowanych, notujemy największy postęp. Wymienić tu należy przede wszystkim reżysera Todora Dinowa, którego filmy „Zazdrość", „Jabłko", „Duet" zdobyły uznanie widzów i krytyki.

W filmie fabularnym sytuacja jest bardziej złożona, ale spodziewamy się, że najbliższy okres przyniesie interesujące i wartościowe prace. Tacy twórcy, jak autor „Słońca i cienia" Rangeł Wyłczanow, reżyserka „Gdy byliśmy młodzi", Binka Żelazkowa, reżyserzy Mundrow, Korabow, Szarlandżijew dowiedli już swego talentu i oczekujemy od nich nowych, pięknych utworów. Spośród ostatnio realizowanych filmów ciekawie zapowiada się utwór „Mężczyźni", w którym gra obecna tu w Rzeszowie Rumiana Korabiełowa, znana polskim widzom z filmu „Gdy byliśmy młodzi". Z zainteresowaniem oczekujemy filmu Wyłczanowa „Wilczyca" — o dziewczętach z domu poprawczego. Reżyserowi Janczewowi udała się komedia „Nieprawdopodobna historia", która z ogromnym sukcesem idzie na naszych ekranach. To najlepsza komedia bułgarskiej kinematografii, a co najważniejsze komedia satyryczna, traktująca o problemach współczesności.

— Właśnie, o to chciałem pana zapytać. Jakie odbicie w waszej produkcji filmowej zajmują sprawy współczesności? Jest to problem, który sprawia wiele kłopotów nie tylko naszej kinematografii.

— Nam również trudno mówić o wielkich sukcesach choć problematyka współczesna jest tematem większości filmów. Bułgarskie filmy wojenne, w odróżnieniu od polskich czy jugosławiańskich można policzyć na palcach. Ale choć bierzemy na warsztat sprawy współczesne, rzadko bywamy zadowoleni z rezultatów. Zagadnienia te były przedmiotem licznych dyskusji i już dzień dzisiejszy przynosi zmiany na lepsze. Sporo kłopotów sprawiał np. problem krytyki: kogo krytykować, jaka jest granica krytyki, itp. Przyjęto — z pełną aprobatą partii — tezę, że problem nie w tym kogo, ale z jakiej pozycji krytykować. Z pozycji marksizmu-leninizmu — a więc od góry do dołu, mając na widoku społeczne dobro.

— I ostanie pytanie. Znamy takie pańskie filmy, jak „Wypadek na ulicy", „Bohaterowie Szypki", „Cenę odwagi". Jakie są pańskie plany twórcze na przyszłość?

— Chcę zrealizować komedię. Ośmieszanymi bohaterami byliby w niej ludzie, którzy przy każdej władzy, każdej zmianie czują się znakomicie, doskonale dają sobie radę i w każdej sytuacji potrafią zrobić niezły interes.

Rozmawiał: W. SZYMCZYK

JAN GRYGIEL

W poszukiwaniu definicji

Jeśli przyjmiemy tezę, że w większości wypadków twórczość literacka jest próbą samookreślenia twórcy, próbą znalezienia formuły na siebie samego, to trzeba stwierdzić, że pisarstwo Bogdana Loebla jest klasycznym tej tezy potwierdzeniem. Taki był zasadniczy ton jego debiutu poetyckiego — tomiku pt. „Pozapromienne" wydanego w 1963 roku, w którym poeta pisał:

...uwięzieni
w klatkach z prętów powietrza
cienkich prętów
pozwalających się wyginać
w dowolne formy
obnosimy się
po ulicach
i krzesłach

(„KLATKI")

lub w innym wierszu.

podziwiam siebie
uderzającego wytrwale
głową o mur
zataczającego koła
coraz szybsze i precyzyjniejsze
gnącego się w ukłonach
i znowu pędzącego
na murowaną ścianę...

(„MOST")

Tu również sprawa staje się zasadniczym motywem większości opowiadań ze zbioru „Upał", który niedawno ukazał się na półkach księgarskich. Tom ten jest debiutem prozatorskim Loebla. W opowiadaniach swoich autor niezbyt daleko odszedł od kręgu swojej twórczości lirycznej. Innymi środkami wyraża te same niepokoje i obsesje. Klamrą spinającą prawie wszystkie opowiadania w jedną całość jest bohater tych opowiadań. Pozornie w każdym inny, ale czy występuje w pierwszej osobie („Upał"), czy jako Andrzej („Kamienie" i „Dziewczyna z dzikiej plaży"), jako Henryk („Zielona dziewczyna") i Chłopiec („Idiotka"), to wiadomo, że w gruncie rzeczy to jest ta sama postać. Można się domyśleć, iż kreowanego w ten sposób bohatera pisarz wyposaża w wiele własnych doznań i cech. Obdarza go biografią trudną, stawia w sytuacjach konfliktowych i zmusza do szukania jakiegoś sensu, jakiegoś określonego miejsca w życiu. Postacie z opowiadań Loebla znajdują się bowiem w jakimś „pustym polu", na jakimś zakręcie swej drogi. Oczekują na coś, co się wydarzy i wyrwie ich z bezsensownego bytowania. Jedni próbują się zdefiniować przez ciężką pracę fizyczną w środowisku kamieniarzy („Upał", „Kamienie"), inni szukają siebie w erotycznej przygodzie lub próbie ucieczki od swego szarego losu („Idiotka", „Zielona dziewczyna").

Warto zwrócić uwagę, że akcja wydarzeń zawartych w opowiadaniach rozgrywa się zwykle w małych miasteczkach. Miasteczkach sennych, dusznych — stanowiących jakby kwintesencję „prowincji". Stąd próby ucieczek syntetycznego bohatera od siebie i od swojego otoczenia — oczekiwanie na przygodę lub jakiś przełom w swym życiu, który wyrwie go z miasteczek, w których... „znał wszystkich, którzy przychodzili tu z pobliskich domów po wodę i potrafił przewidzieć niemal każdy ich gest, gdy zbliżali się i oddalali od studni. Znał zresztą prawie wszystkich mieszkańców tego miasteczka łącznie z Fryzjerem Pijaczkiem, Pieprzniętym Mieciem, Magistrem od Kart, Filozofem, Tadziem Kanciarzem i Doktorem, który nosił sięgającą do pasa siwą brodę i potrafił recytować całe rozdziały z „Ogniem i mieczem".

Bo jeśli się stamtąd nie odejdzie, to trzeba przyjąć konwencję małomiasteczkowych gier i zabaw, i zastąpić zdechłego psa Tygrysa, który szaloną ucieczką po rynku z przywiązaną do ogona papierową torbą z kamieniami dostarczał stałej rozrywki kulturalnej sklepikarzowi (opowiadanie „Upał"). Pisarz kreśli swoje prowincjonalne pejzaże z taką nieukrywaną odrazą, iż można mówić o pamflecie. Ale pamlecie trochę zbyt literackim, mało ukierunkowanym i przez to mało skutecznym.

Nastrój niesamowitości tego światka i jego nieco koszmarnej egzotyki potęguje pewna charakterystyczna cecha prozy Loebla. Pisarz patrzy na świat jakby przez silnie powiększające szkło. Konkretność, plastyczność i dokładność opisu jest tu trochę patologiczna — pamięć wzrokowa wyostrzona do maksimum. Widzi nitkę śliny, ciągnącą się z ust głupka Szczepana, widzi u kolejarza „biały płat skóry który odsłonił rozpięty kołnierz jego bluzy i kiedy się odwrócił, i zaczął iść widoczny był długo biały pasek skóry pomiędzy czarnym materiałem bluzy, i opalonym na brąz karkiem". Widzi plamy na suficie i błysk w słońcu wypolerowanego trzonka łopaty, i wiele szczegółów na ogół niedostrzegalnych lub nie zapamiętywanych przez przeciętnego widza. Ta precyzyjność i bogactwo obserwacji właściwie odrealnia świat Loebla, czyni go podobnym do jakichś wizji sennych, w których intensywność doznań konkretności i namacalności świata jest o wiele wyższa niż na jawie. I to chyba stanowi największą osobliwość opowiadań Loebla — w tym leży siła sugestywności tej prozy.

Trudno w krótkim felietonie szukać rodowodu „Upału", zastanawiać się nad pokrewieństwami filozoficznymi i artystycznymi autora. Jest na to zresztą jeszcze wiele czasu — to dopiero debiut prozatorski. Nie ulega jednak wątpliwości, że Loebl należy do pokolenia, którego nie pociąga „ładność", harmonia i gładkość świata. Woli brzydotę, szarzyznę, chropowatość rzeczy i ludzi — niepokój i niezgodę z rzeczywistością. Ale mimo tych cech, mimo pozornej oschłości opowiadań jest w nich dużo melancholii i liryzmu. Widać, że to proza podszyta poezją. „Upał" jest książką pozwalającą wiele oczekiwać od pisarza w przyszłości, a swoim autentyzmem i żarliwością oraz tonem osobistego zaangażowania w trudne sprawy młodych, korzystnie wyróżniającą się spośród bieżących debiutów prozatorskich.

Bogdan Loebl: „Upał" — Warszawa — 1965. „Iskry".

Marek Rozowski

ON

Nie jadł ryb — bał się ości.
Nie jadł mięsa — bał się, że szybko się zestarzeje.
Nie pił wina — bał się, że zostanie alkoholikiem.
Nie nosił kapelusza — bał się, by nie nazwano go inteligencikiem.
Nie mył zębów — bał się, że nazwą go „stiliagą")*
Nie pływał w morzu — bał się, że utonie.
Nie włączał telewizora — bał się, że go „szarpnie".

Nie jeździł tramwajem — bał się, że tramwaj wypadnie z szyn.
Nie chodził po górach — obawiał się wspinaczki.
Nie latał samolotem — obawiał się lądowania.
Nie chodził do kina — bał się, że zobaczy to co już widział.
Nie chodził do teatru — bał się, że zobaczy to czego jeszcze nie widział.
Nie chodził na wystawy plastyczne — bał się, że zobaczy nie to co trzeba.
Nie mówił „tak" — bał się, że będą uważać go za „zgodliwca".
Nie mówił „nie" — bał się, że będą uważać go za nihilistę.
Nie mówił „ni tak ni siak" — bał się, że będą uważać go za człowieka bez własnego poglądu.
Nie mówił „a" — bał się poproszą, by powiedział „be".
Nie mówił „be" — bał się, że będzie musiał powiedzieć „me".
Nie mówił „me" — bał się, by nie nazwano go baranem.
Nie mówił „ni be ni me" — bał się, że go awansują...
...Kiedyś w czasie przerwy obiadowej podszedł do okna i powiedział powoli:
— Obawiam się, że jutro będzie gorsze od dnia dzisiejszego.
Miał na myśli pogodę, ale koledzy biurowi słuchając tych słów, raptem poruszyli się, popatrzyli po sobie, zrobili wielkie oczy i wyszeptali:
— Ach, jaki śmiały, jaki nieustraszony człowiek z naszego Piotra Andrejewicza.

Z rosyjskiego przełożył:
WITOLD SZYMCZYK

*) stiliaga — coś w rodzaju naszego „bażanta", „bikiniarza".

Antologia poezji polskiej w NRF

W NRF (we Frankfurcie nad Menem) ukazała się antologia liryki polskiej XX wieku pt. „Polnische Poesie des 20 Jahrhunderts", wydana przez znanego badacza literatury polskiej Karla Dedeciusa, który jest jednocześnie autorem przekładów.

W antologii zaprezentowano czytelnikom 140 utworów 44 poetów polskich czterech pokoleń — od Jana Kasprowicza do Stanisława Grochowiaka. Są tu neoromantycy, symboliści, ekspresjoniści, „katastrofiści", przedstawiciele awangardy, lirycy okresu powojennego. Recenzent „Die Zeit" zwraca uwagę, że „poeci starszych generacji są reprezentowani przez mniejszą liczbę utworów niż młodsi". Wydawca wyjaśnia to „ustępstwem na rzecz współczesności". Jeśli jednak w antologii znalazły się tylko cztery wiersze Tuwima, to trudno przypuścić, by czytelnik mógł sobie wyrobić jakiekolwiek pojęcie o jednym z największych mistrzów polskiego słowa poetyckiego. „Antologia robi z Tuwima anemicznego modernistę, którym nigdy nie był„ — pisze słusznie recenzent.

Tenże sam sprawozdawca zapewnia, że obok bogatego wyboru uznanie budzą również bardzo udane przekłady tekstów — nawet tak trudnych, jak wiersze Leśmiana.

KALMAN SEGAL

WIEPRZOWE SERCE

Najpiękniejsze lata swego życia spędził księgowy Piórko nad cyferkami. Pochylony nad biurkiem pisał te cyferki i sumował, oceniał przy ich pomocy dochody i straty, wpływy i wydatki, aktywa i pasywa. Gdyby jego cyferki ustawić w jednym szeregu lub w jednym rzędzie, utworzyłaby się ścieżka równa długości drogi od Niepołomic do Buenos Aires. Gdyby podsumować wszystkie sumy, jakie pan Piórko zapisał w swojej długoletniej praktyce, starczyłoby na zakupienie połowy Ameryki łącznie z Białym Domem, a za resztę można by jeszcze wystawić ładny domek jednorodzinny w willowej dzielnicy.

Tyle cyfr napisał w swoim życiu księgowy Piórko i mimo to nie pozwolił ponieść się pysze. Pozostał człowiekiem skromnym i pełnym pokory, zaś jego marzenia nie mają nic wspólnego z chciwością lub żądzą bogactw.

Właśnie o marzeniach rozmawialiśmy któregoś dnia w kawiarni pod Figowym Listkim i tam padło z ust księgowego pamiętne zdanie, pełne niezaprzeczalnego liryzmu i głębokiej poezji.

— Marzenie, to zaczarowany klucz do szczęścia...

— Pan też mówi o marzeniach? — zapytałem nie bez zdumienia — Pan, który patrzy na życie przez pryzmat suchych cyfr i beznamiętnych statystyk. Księgowi zazwyczaj nie umieją marzyć. Serca księgowych są oschłe i zimne.

W tym miejscu pan Piórko gorąco zaprotestował i zapewnił mnie, że nie ma większej różnicy między księgowymi a innymi ludźmi, i że często kwalifikowany księgowy posiada duszę szlachetniejszą od niejednego artysty.

— Bywają chwile, kiedy w duszy człowieka odzywa się najczulsze pragnienie i tajemna tęsknota. Człowiek zapomina o swoich latach i o swoim stanowisku służbowym, i wychodzi wieczorem na spacerek. Na ulicach — neony, a nad głową księżyc srebrno-złoty. Na skwerach przechadzają się dziewczęta i damy o różowych włosach i migdałowych oczach i budzą w sercu mężczyzny słodkie nadzieje. Bo ja, proszę pana, wciąż jeszcze wierzę, że pewnego dnia spotkam moją wielką miłość.

Pozwoliłem sobie wyrazić skromną uwagę, że miłość po sześćdziesiątce bywa uczuciem ryzykownym i zgubnym.

Miłość zawsze jest uczuciem ryzykownym — odparł księgowy. — W latach mojej niezapomnianej młodości istniała w naszym Miasteczku słynna oberża Pod Wieprzowym Sercem. Właściciel tej oberży miał córkę przecudnej urody i ja, proszę pana, kochałem ją miłością najpierwszą. Niestety, byłem w owym czasie zaledwie chłopcem na posyłki, zaś oberżysta był wielkim bogaczem i gardził ubóstwem. Córkę oberżysty poślubił zamożny masarz, a ja zachowałem ją w pamięci czystą i niewinną, jak łza. I jeszcze dzisiaj, gdy wychodzę na mój codzienny spacerek po gwarnych ulicach naszego pięknego miasta, serce bije mi mocno, bo łudzę się, że za chwilę rozpoznam ją w jednej z młodych roześmianych kobiet. Czasami patrzę na oświetlone wagony dalekobieżnych pociągów, zajeżdżających na dworzec i zastanawiam się, czy pewnego dnia nie przyjedzie do mnie moja piękna przyjaciółka. A gdy wracam z pracy, zaglądam do skrzynki na listy, czekam na znak i na wiadomość. Ale skrzyneczka jest zawsze pusta, nikt do mnie nie pisze. I w ogóle te moje marzenia są zupełnie bezsensowne, wiem o tym, bo przecież oberża Pod Wieprzowym Sercem od dawna już nie istnieje, oberżysta nie żyje, a jego córka jest już starą kobietą.

Pan Piórko wyciągnął chusteczkę i otarł dużą łzę, spływającą po bladym policzku.

A na dworze zapadł wieczór, miasto jaśniało blaskiem nowoczesności i jarzeniowych świateł — a nad dachami domów toczył się księżyc — okrągły i piękny jak twarz niewinnej dziewczyny z Oberży pod Wieprzowym Sercem.

MUZA HEMINGWAYA

We Włoszech ukazało się obecnie pierwsze w tym kraju wydanie powieści Ernesta Hemingwaya „Za rzekę w cień drzew". Książce, napisanej w 1949 r., a opublikowanej rok później w języku angielskim, z miejsca towarzyszył niemały huczek. Spowodowało go nie tyle złe przyjęcie powieści przez krytykę, ile utożsamianie bohaterki z piękną Jugosłowianką, 18-letnią arystokratką Adrianą Ivancić, mieszkającą wówczas w Wenecji. Hemingway nie chcąc narażać opinii młodej osóbki, która nieraz bywała w jego domu, zadecydował, że powieść „Za rzekę w cień drzew" może ukazać się w języku włoskim dopiero kilka lat po jego śmierci.

Przemyślni wydawcy włoscy nie zapomnieli o „zakazanej" powieści. Wydali ją teraz, odświeżając równocześnie sprawy, które towarzyszyły ukazaniu się książki w ogóle. Hemingway, czyniąc w 1950 r. zastrzeżenie druku, nie przewidział, że klauzula nie uchroni pięknej Adriany przed plotkami. Rzekomy pierwowzór Renaty — bohaterki „Za rzekę w cień drzew" żyje bowiem. Adriana Ivancić jest żoną mediolańskiego przemysłowca, Niemca z pochodzenia, hrabiego Kai Rex.

Huczek rozszalał się od nowa. Biografowie Hemingwaya za wszelką cenę starają się ustalić, czy hrabina Rex była tylko „natchnieniem" Hemingwaya (wiadomo, że wówczas przechodził ostry kryzys twórczy i psychiczny), czy też można postawić znak równania między Adrianą i Renatą.

Rozmowy, wywiady, dyskusje, bo przez kilka lat jeszcze jedna piękna wenecjanka uchodziła za pierwowzór Renaty. Była nią hrabina Afdera Franchetti, późniejsza żona znanego aktora filmowego Henry Fonda. Zresztą ona bez sprzeciwu przyjmowała wszystkie uwagi na temat wspólnych cech jej i hemingwayowskiej bohaterki.

Zdjęcia hrabiny Adriany z lat 1948/9 są jednak jakoby portretem Renaty z „Za rzekę w cień drzew" Hemingwaya. Równie niezaprzeczalnym faktem jest długoletnia przyjaźń Hemingwaya z Adrianą, która się zaczęła właśnie w okresie powstawania tej powieści.

Wdowa po pisarzu, pani Mary Hemingway — jak dotąd — nie zabiera głosu w tej dyskusji.

A sama zainteresowana?

Obecnie zajmuje stanowisko, które wcale nie ułatwia wyjaśnienia postaci Renaty. Przyznaje, że „użyczyła" swej twarzy i zarysu głowy bohaterce, a dalsze szczegóły to już wyłącznie sprawa fantazji Hemingwaya lub fikcji literackiej, do której przecież ma prawo każdy autor. Przytacza na swe „usprawiedliwienie" i poparcie prawdziwości słów fragment listu pisarza, w którym wyraźnie mówi: „Nie jesteś Renatą z mej książki". W innym miejscu tego listu Hemingway jest niekonsekwentny, bo stwierdza, że Renata nie jest dosłowną kopią Adriany Ivancić, ale Adriana jest muzą, która towarzyszyła mu przy tworzeniu opowiadania „Stary człowiek i morze". Ta mikropowieść przyniosła Hemingwayowi nagrodę Pulitzera w 1953 r., a 28 października następnego roku Nagrodę Nobla w dziale literatury.

Jednak w bibliotece prywatnej hemingwayowskiej muzy pani Adriany hrabiny Rex można znaleźć amerykańskie i niemieckie wydania „Za rzekę w cień drzew" we wspaniałych oprawach, ręcznie malowanych przez ich właścicielkę. W swojej młodości hrabina, jak i Renata rysowała, malowała i pisała wiersze. „W moim wieku każdy ma talent" — to słowa nie hrabiny, lecz Renaty, z wspomnianej powieści.

I tak zazębiają się fragmenty życia Hemingwaya i Adriany Ivancić hrabiny Rex, przypominając dzieje starego pułkownika Cantwell i jego młodej i pięknej przyjaciółki Renaty — dziwnych i tragicznych bohaterów „Za rzekę w cień drzew", książki, która przyniosła wielkiemu pisarzowi najwięcej goryczy i rozczarowań.

„Stern" — oprac. M. G.

ADRIANA IVANCIĆ (zdjęcie współczesne)

Prof. ANTONI WOŹNIACKI — rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie.

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

GRAHAM GREENE:

Gdybym był w Wietnamie...

W Belgradzie ukazała się książka znanego jugosłowiańskiego historyka literatury, prof. Żywojina Todorowicia pt. „Głos pisarzy świata". Książka zawiera rozmowy, które autor przeprowadził ze sławnymi pisarzami z różnych krajów, m. in. z Grahamem Greenem, Pablo Nerudą, Allanem Sillitoe.

A oto rozmowa, którą Todorowić przeprowadził ze znanym pisarzem angielskim Grahamem Greenem.

— Wielu krytyków uważa pana za czołowego pisarza katolickiego. Czy tak jest naprawdę?

— Jedni uważają mnie za katolika, inni widzą we mnie gorliwego komunistę. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem jedynie twórcą, zaangażowanym w walkę o prawdę. Oznacza to, że występuję przeciwko takim rządom i reżimom, które są niesprawiedliwe, zacofane i niedemokratyczne. Sam jestem raczej anarchistą. Gdybym mieszkał na Kubie, byłbym po stronie Fidela Castro, gdybym był w Wietnamie, zostałbym stronnikiem Wietkongu, na San Domingo brałbym udział w ruchu ludowo-wyzwoleńczym. Zawsze staję po stronie rewolucji. Po prostu jestem zawsze tam, gdzie ludzie walczą o lepsze społeczeństwo.

— Co sądzi pan o przemianach w literaturze światowej?

— Jest to trudne pytanie. Inne zmiany zaszły w powieści, inne — w teatrze. W sztuce dramatycznej wyczuwa się duży wpływ Becketta. Sądzę, że jest to zjawisko normalne. Teatr jest — moim zdaniem — znacznie poważniejszym gatunkiem literackim niż powieść. W literaturze dramatycznej widać większe wpływy starszych pisarzy, chociaż młodzi występują przeciwko starszym pokoleniom. Nie należy jednak niepokoić się o los powieści. Jest to bardzo dogodna forma narracji. Sztuka opowiadania nigdy nie zaginie. Powieść współczesna nie osiągnęła jeszcze szczytu doskonałości, ani w twórczości Kafki, ani Joyce'a. Są to wielcy pisarze, ale i oni nie powiedzieli jeszcze wszystkiego, co można powiedzieć w powieści. Np. Robbe-Grillet jest dobrym powieściopisarzem, ale nikt nie bierze go za wzór. Wielu Francuzów nie ceni go, ponieważ przyzwyczaili się, że każdy pisarz należy do jakiejś szkoły i reprezentuje pewien kierunek. Anglicy nie mieli nigdy swojej „szkoły" w sztuce, cechuje ich indywidualizm, pragmatyzm.

— Co sądzi pan o literaturze innych krajów?

— Znam klasyczną literaturę rosyjską. Jest to wielka literatura. Dzieła współczesnych pisarzy radzieckich rzadko tylko tłumaczone są na język angielski. Znam tylko Szołochowa. Jego „Cichy Don" jest utworem wybitnym. Kiedy ta książka się ukazała w latach trzydziestych w Anglii napisałem o niej pierwszą recenzję. Później nie miałem sposobności czytania ani Szołochowa, ani innych pisarzy radzieckich, ponieważ przekłady ich utworów na język angielski są bardzo rzadkie i złe.

Z literatury amerykańskiej znam i cenię poszczególnych pisarzy. Przede wszystkim Faulknera. Cenię również i Hemingwaya, zwłaszcza z najwcześniejszego okresu jego twórczości. Uważam, że największą powieścią amerykańską są „Przygody Hucklebury Finna" Marka Twaina. To, co stworzył Mark Twain wystarczy, by uznać literaturę amerykańską za wielką.

zdarzenia tygodnia

W dniu 17 bm. wyjechała do Lublina rzeszowska Państwowa Orkiestra Symfoniczna. W tym samym dniu orkiestra wykonała w sali Państwowej Filharmonii koncert symfoniczny, którym dyrygował Tadeusz Chachaj. W programie utwory Dworzaka, Webera, Spisaka, Czajkowskiego i Moniuszki. Z orkiestrą wystąpiła Bożena Kinas, artystka Opery Warszawskiej.

Występ odbył się w ramach II Lubelskiego Września Muzycznego, dorocznej już imprezy muzycznej Lublina.

* * *

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie zorganizował w Sandomierzu plener dla amatorów plastyków z woj. rzeszowskiego, który będzie trwał od 14 do 23 września br. Uczestnicy zwiedzą zabytki Sandomierza i okolice. W plenerze biorą udział 23 osoby. W listopadzie w WDK zostanie zorganizowana wystawa prac wykonanycrh podczas pobytu w Sandomierzu.

* * *

W niedzielę, tj. 12 bm. na stadionie rzeszowskiej Stali odbyło się spotkanie czołowych zespołów mocnego uderzenia: angielskiego zespołu „The Original London Beat" i polskich „Niebiesko-Czarnych" wraz z solistami. Uderzenie było rzeczywiście mocne, o czym dała znać młodzież na ulicach Rzeszowa, podczas powrotu z występu. Może nawet nieco za głośno.

* * *

Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna w Rzeszowie zorganizowała ostatnio konferencję kierowników powiatowych bibliotek pedagogicznych z województw kieleckiego i rzeszowskiego.

Narada była poświęcona wymianie doświadczeń z zakresu pracy powiatowych bibliotek pedagogicznych oraz omówiono zadania w roku szkolnym 1965/66 i służbę informacyjną w powiatowych bibliotekach pedagogicznych.

WIDNOKRĄG odpowiada

E. B. RZESZÓW: Z przyjemnością przeczytaliśmy Pana uroczy list, który sam już świadczy o dużej wyobraźni i gruntownym oczytaniu oraz niewątpliwych uzdolnieniach literackich. Nadesłane wiersze na ogół nam się podobały. Mniej nieco „Ballada", natomiast „Droga do światła" i wiersze bez tytułu dobrze świadczą o Pana możliwościach w twórczości poetyckiej. Na razie nie będziemy jeszcze drukować, lecz prosimy o utrzymywanie z Widnokręgiem kontaktu i nadesłanie jeszcze kilku wierszy. Dobrze byłoby, aby pan potrafił wyzwolić się spod wpływu Gałczyńskiego, gdyż zależność jest w tej chwili zbyt widoczna.

„SOŚNIN": Za uznanie dziękujemy. Wiersze niestety nie nadają się do druku. Wspomnienia wojenne lub obozowe chętnie przeczytamy i jeśli będą się nadawać do publikacji — wykorzystamy, lecz trudno nam z góry wiązać się jakimikolwiek obietnicami.

„ANTARES": — Nie skorzystamy.

CO WIATR NIESIE

Bal w Sopocie

Pozytywne opinie o tegorocznym międzynarodowym festiwalu piosenki w Sopocie, o dobrym poziomie artystycznym utworów i wykonawców oraz zainteresowanie, jakim cieszy się ta impreza u cudzoziemców, nareszcie skruszyły granitowe serca władz miejskich Sopotu i dyrekcji „Orbisu". Przez 5 lat Sopot robił wszystko, łącznie z zamknięciem drzwi jedynego, reprezentacyjnego hotelu przed festiwalowymi gośćmi, aby pozbyć się tej imprezy.

I oto informuje nas „Pagart", że Festiwal — Sopot 66" odbędzie się naprawdę w Sopocie. Zawarto już umowy na oddanie do dyspozycji organizatorów VI Festiwalu nie tylko „Grand Hotelu", ale również hotelu „Monopol" w Gdańsku. Tak więc baza jest zapewniona. Festiwal odbędzie się w dniach 25—28 sierpnia 1966 r. Program przewiduje ten sam układ koncertów jak w tym roku, łącznie z występami przedstawicieli wytwórni płyt gramofonowych.

A na zakończenie festiwalu — bal dla uczestników i zaproszonych gości w salach „Grand-Hotelu". Taki ma być finał wielkiego boju Sopot contra piosenka. Finał tak piękny, że aż nie chce się wierzyć aby był prawdziwy. Przekonamy się o tym za rok!

M. G.

Humoreska

Niech żyje Albin Pączek

W słoneczne rano wyszedłem na ulicę, zapaliłem wonne cygaro i spacerując niefrasobliwym kroczkiem, zacząłem obserwować życie wielkiego miasta.

W pewnej chwili zauważyłem małego, kulawego obywatela, który skrupulatnie zamiatał jezdnię, co pewien czas przystając, by zebrać na łopatę kupkę końskiego łajna.

— Jak pan się nazywa? — zapytałem.

— Albin — odparł człowieczek. — Albin Pączek jestem. Pracownik komunalny.

Uścisnąłem go serdecznie i zapewniłem gorąco o mojej sympatii. Potem pomyślałem o wszystkich innych pracowitych ludziach i zapragnąłem wyrazić choć cząstkę mojej wdzięczności dla tej niezliczonej rzeszy uczciwych obywateli spełniających swoje obowiązki wobec społeczeństwa i ludzkości.

Wdrapałem się na słup ogłoszeniowy i gromkim głosem zawołałem:

— Obywatele- Albin Pączek niech żyje!

Kilku przechodniów wzruszyło ramionami i odwróciło się. Milicjant, który akurat miał dyżur podszedł do mnie i zapytał surowo:

— Co to za okrzyki! I kto to w ogóle jest, ten pański Albin Pączek?

— Albin Pączek jest obywatelem naszego miasta i pracownikiem komunalnym — odparłem.

Milicjant wzruszył ramionami i odszedł. Niektórzy przechodnie parskali śmiechem i również odchodzili. Nikt nie podjął okrzyku na cześć Albina Pączka.

Zawstydzony zeskoczyłem ze słupa ogłoszeniowego i poszedłem do domu. Nie mogłem zrozumieć dlaczego nikt nie chciał uczcić pracownika komunalnego, Albina Pączka. I dlatego napisałem tę opowiastkę.

KALMAN SEGAL

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.